

MATECZNIK

Karol Olgierd Borchardt

Całe moje dzieciństwo i młodość upłynęły pod wielkim wpływem mojej matki i jej rodziny. Urodziłem się w Moskwie, w klinice mego ojca, który był lekarzem. Zanim to się jednak stało, matka moja została zmuszona do tego małżeństwa. Obydwoje pochodzili z powiatu oszmiańskiego i nawet byli spokrewnieni przez dziada Baniewiczza, powstańca z 1863 roku. Początkowo matka, niezbyt zachwycona uczuciem ojca, ukryła się w miejscowości Lejpuny na Suwalszczyźnie, gdzie została nauczycielką. Kiedy jednak ojciec ją odnalazł, wyjął pistolet i (co by to wówczas w modzie) powiedział: Albo pani wyjdzie za mnie za mąż, albo w tej chwili się strzelam... -Takie to gwałtowne wydarzenia poprzedziły moje przyjsię na świat.

Matka moja była osobą energiczną i niezależną. Mogę ją nawet nazwać pierwszą polską sufrażystką. Więc gdy ojciec został powołany do wojska i wyjechał do Azji, zastawiła swoje srebra i uciekła ze mną do Paryża. Ryzykowała przy tym wiele. W owe czasy mąż mógł żonę sprowadzić, uciekając się do pomocy policji, mógł zabrać jej dziecko - pomimo że zamieszkaliśmy u rodziny ojca.

Miałem wówczas trzynaście miesięcy. Więcej ojca swego nie widziałem. Później kilka razy miało dojść do mego spotkania z ojcem, ale zawsze coś stało na przeszkodzie. Ostatnio w sierpniu 1939 roku, wracając z urlopu w Żurawach, byłem już z ojcem umówiony (mieszkał wówczas w Warszawie przy Marszałkowskiej), ale spotkałem wuja Raczkiewicza, który poradził mi, bym jak najszybciej wracał na „Dar”, jeśli nie chcę być odcięty od Gdyni. Gdy jesienią 1949 roku wróciłem do kraju, ojciec mój już od kilku lat nie żył.

Po latach odnalazły mnie... moje siostry przyrodnie - Karusia i Bożenka, córki mego ojca z drugiego małżeństwa. Pomogły mi ustalić lub potwierdzić uzyskane wcześniej wiadomości o rodzinie Borchardtów. Pradkowie moi byli dworzanami księcia Karola Kurlandzkiego i wraz z nim przenieśli się z Brunszwiku do Kurlandii. Wszystko wskazuje, że po mieczu wywodzę się z baronów kurlandzkich i mam prawo pieczętować się herbem brunszwickim. Zapytana przeze mnie Karusia (aktorka Teatru Dramatycznego w Warszawie), czy coś wie na ten temat, odpowiedziała: - Oczywiście, zawsze nazywano mnie baronówną. Co prawda później królowną, ale to już zupełnie inna historia.

Imiona Karol i Karolina, bardzo często powtarzające się w rodzinie Borchardtów, nie są przypadkowe i mają związek właśnie z księciem Karolem. Matka ojca, a moja babka, była z pochodzenia Włoszką o nazwisku Nicolai.

Wydaje mi się, że mój ojciec miał jakieś szczególne zdolności uzdrowicielskie. Z przedwojennych warszawskich gazet mam wycinki, które donoszą o jego wielkich sukcesach w leczeniu raka. Przywracał zdrowie ludziom, którym inni lekarze nie dawali już żadnych szans. Dużą wagę przykładał do czystości powietrza, właściwego oddychania, diety. Własnym nakładem wydał książeczkę „Dlaczego głód leczy”. Z zemsty za ewentualną stratę klientów rzeźnicy warszawscy wybili szyby w oknach jego gabinetu.

Po kądzieli swój rodowód mogę rozpocząć od trzech sióstr Kleczkowskich: Amelii, Zofii i Michaliny. Wyszły one kolejno za mąż: Amelia za Adama Wańkowicza, Zofia za Ottona Boera, a Michalina za Ignacego Litawor-Aramowicza. Moja gałąź wyrasta z pnia rodziny Litawor-Aramowiczów, posiadających majątek Różystaw. (Pradziad Ignacy Litawor-Aramowicz 16 lat spędził na Syberii). Mieli cztery córki i trzech synów. Córki daty początek nowym rodzinom, wychodząc za mąż: Aniela za Joachima Niekraszewicza, Jadwiga za Wyszyńskiego, Amelia (moja babka) za Leokadiusza Narwid-Raczkiewicza, Michalina za Antoniego Łukaszewicza.



Fot. archiwum Ewy Ostrowskiej

K. O. Borchardt z matką- 1911 r.



K. O. Borchartt z matką - 1975 r.

Wszystkie te rodziny żyły ze sobą bardzo blisko i wszędzie czułem się jak u siebie w domu. Moja rodzona babka Amelia z Litawor-Aramowiczów Raczkiewiczowa zmarła bardzo młodo, na płuca. Zostawiła troje dzieci: Olgierda (zmarł także na płuca w 1912 roku, kurując się na Krymie), kilkunastoletnią wówczas Marynię (moją matkę) i najmłodszego Mieczysława. Była jeszcze druga córka - Zofia, ale zmarła we wczesnym dzieciństwie. Choroba babki pochłaniała wiele pieniędzy, wymagając częstych wyjazdów „do wód”. Podczas nieobecności rodziców folwarkiem rodzinnym Żurawy (przed 1863 rokiem - Żurawie) zarządzała czternastoletnia Marynia, radząc sobie znakomicie i wzbudzając podziw okolicznych sąsiadów. Folwark jednak nie dawał dostatecznie dużej intraty i dziad podjął się funkcji zarządcy wielkiego majątku Gowarczów.

Wróć jeszcze do Paryża, w którym spędziłem pięć lat. Matka moja pracowała w magazynie mód, rysując modele modnych kreacji i zarabiając w ten sposób na życie. Wkrótce z przerażeniem stwierdziła, że mogę zostać Francuzem. Mówiłem doskonale po francusku, po polsku znałem jedynie „Katechizm małego Polaka”, powtarzany bez specjalnego zrozumienia za matką. Do roku 1911 udało się mej matce tyle zaoszczędzić, że wróciliśmy do Wilna, a stamtąd zostałem odwieziony do słynnej na cały powiat oszmiański mojej ciotecznej babuni Michasi Łukaszewiczowej, seniorki rodu. Będąc wdową, z trudem wychowywała i kształciła troje dzieci. Majątek Bykówka stracił wiele ze swej świetności od cza-

su, gdy brat męża, Józef Łukaszewicz, został skazany na śmierć za udział w zamachu (sporządził materiał wybuchowy) na życie cara Aleksandra III. Był wówczas studentem wydziału matematyczno-przyrodniczego w Petersburgu. Jego ojciec wybłagał na osobistej audiencji u cara zmianę wyroku na dożywocie. Kosztowało to jednak sporo i obciążało majątek. Józef Łukaszewicz przebywał w Twierdzy Szlisselburskiej blisko dziewiętnaście lat (aresztowany 2 marca 1887, uwolniony 20 listopada 1905). Do uwolnienia wprawdzie przyczyniła się rewolucja, jednakże koszty także były znaczne.

Babunia i obydwie ciotki naturalnie mówiły po francusku, ale z pozostałymi osobami we dworze musiałem początkowo porozumiewać się na migi. Wkrótce jednak, ku zdumieniu, a nawet przerażeniu ciotek, z francuskiego o paryskim akcencie przeszedłem wprost na białoruski, doskonalony w zabawach z wiejskimi rówieśnikami.

Babunia Michasia była wyrocznią. Przed wszystkim zostałem pozbawiony swoich paryskich bucików, bo najlepsze są z własnej skóry. Po śniadanie musieliśmy iść o wschodzie słońca do otaczających dwór lasów. O jednym z nich mówiono MATECZNIK. Storczyki tam rosnące miały stanowić unikatowe okazy, nigdzie już nie występujące. Ten matecznik babunia najwięcej kochała. Nie pozwoliła ściąć ani jednego drzewa, nawet na pokrycie kosztów kursów literackich jednej z ciotek, uczącej się na nich w Warszawie. Każde drzewo przecież mogło służyć za tarczę dla powstańca. W czasach mego dzieciństwa atmosfera popowstaniowa by-

ta wciąż żywa, może bardziej niż dzisiaj pamięć drugiej wojny światowej". Przyjeżdżali bardzo uczeni krewni ogłądać i podziwiać matecznik. Niedźwiedzi już w nim nie było. Ostatni niedźwiedź, o jakim słyszałem, żył w rodzinnym dworze babuni Michasi a tyrn samym i mojej rodzonej babki Amelii), w Różystawiu nad Berezyną oszmiańską. Był pomocnikiem kucharza i do jego obowiązków należało zaopatrywanie kuchni w wodę i drewno. Misia tego bardzo lubiły psy i chętnie z nim barszkowały, ale gdy niósł drewno, czekały na niego zawzięcie. Miś nie pozostawał dłużny i ciskał w nie polanami, co się najbardziej psom podobało i chyba o to im tylko chodziło.

Wprawdzie niedźwiedzi w mateczniku nie było, za to wilków nie brakowało. Idąc do lasu, przechodziliśmy koło ogrodzenia, za którym pasły się byki i woły. W owych czasach orano nimi po zaprężeniu do sochy. Przysłe własnego wyrobu ubrania rosły w postaci lnu. Utkane z lnu płótno bielilo się na łąkach koło krynic pomiędzy lasami.

Ciotki uznawałem za wszechwiedzące i orientujące się najlepiej, co i gdzie w lesie rośnie. Rozpoczynaliśmy od zbierania poziomek. Ciotki wiedziały, gdzie rosną największe, najbardziej soczyste. W cieniu. Te słodkie - w miejscach nasłonecznionych. Jednocześnie dojrzewały czernice, a potem maliny, borówki. Przechodziliśmy przez zagajniki z olbrzymich brzoź, za którymi latem wschodziło słońce. Następnie skręcaliśmy w prawo, w olbrzymi las jodłowy - właśnie nazywany matecznikiem. Była to kraina niebotycznych jodeł. Tam gdzie jodły rosły rzadziej i było wilgotno, królowały te podziwiane przez wszystkich storczyki. Za DĘBUSZKAMI, jak zwano las olbrzymich dębów, zachodziło słońce. Tuż za nimi leżała kraina moich nocnych marzeń przy ognisku - rojsty. Zabierano mnie czasem na rojsty na nocleg, podczas którego pasły się konie. Największą jednak atrakcją był dojazd na rojsty i jazda powrotna na wypoczętych i rwących z kopyta koniach. Ożywały wówczas zasłyszane w nocy przy ognisku opowieści chłopców pilnujących koni. Tematu do nich dostarczały te ziemie „przesiąknięte” historią. Rojsty dochodziły do oszmiańskiego traktu, wysadzonego brzozami, który niejedno widział, między innymi przechodziły nim wojska napoleońskie. We wsi Kurchany, leżącej za traktem, mieszkała jeszcze staruszka licząca sobie sto kilkanaście lat. Gdy przychodziła do babuni, była pierwszą osobą w domu, bo jako dwunastoletnia dziewczynka na własne oczy widziała Napoleona. Na prośbę babuni jej odwiedziny kończyły się zawsze udzielanym nam wszystkim przez nią błogosławieństwem. Z dębuszek wracaliśmy do domu z naczyniami pełnymi jagód. Na śniadanie główną potrawą były poziomki, czernice lub maliny ze śmietanką „prosto od krowy”, z wieczornego udoju. O cukrze nie było mowy. Zjawiał się na stole wyjątkowo, gdy podejmowano gości. Był przechowywany w kredensie, w olbrzymiej czeczotkowej szkatule. Cukier zastępował miód z licznych pasiek w sadzie.

W porze grzybów wyruszaliśmy do lasu po śniadaniu - znów z wszechwiedzącymi ciotkami. Zbieraliśmy

głównie borowiki, jesienią rydze. Początkowo musiałem każdy grzyb pokazać, zanim włożyłem do koszyka, borowiki bowiem różniły się między sobą barwą czapek i kształtem. Inne były z zagajników, inne z matecznika, jeszcze inne z dębuszek. Tam rosły krępe, o kolorze orzechowopopielatym. Małe borowiki odkładano do posolenia na zimę, trochę większe suszono na słońcu, największe, uduszone w maśle ze śmietaną, podawano do stołu na obiad z gotowanymi kartoflami. Na deser - znów jagody zbierane z rana. Po kolację trzeba było iść także do lasu.

Gdy po raz pierwszy, pozbawiony swych paryskich buciczków, boso wróciłem z lasu do domu, wydawało mi się, że stopy mam w ogniu. Byłem bliski płaczu. Babunia, widząc moje cierpienie, przypomniała mi wierszyk „Kto ty jesteś?” Gdy doszliśmy do słów: „oddać życie”, spytała: -Jeśli zostaniesz powstańcem i nie będziesz miał butów w lesie, to co zrobisz?

Babunia zawsze miała rację. A gdy jesienią wracałem z matecznika z koszem pełnym laskowych orzechów na podwieczorek, przypominałem sobie swoje pierwsze kroki bez trzewiczków i pomyślałem, że teraz byłoby rzeczą okropną je włożyć.

*Prezentujemy rozdział z książki „Pod czerwoną różą”, której wznowienie (uzupełnione o zdjęcia) ukaże się wkrótce nakładem Biblioteki „Rejsu”.

Copyright © by Ewa Ostrowska.



Fot. archiwum Ewy Ostrowskiej

K. O. Borchardt podczas Operacji Żagiel 74